

Marian Pawłowicz
ul. Kasztanowa 23.
BIAŁYSTOK

© ARCHIWUM WSCHDNIE

Marian Pawłowicz - rocznik 1921.

Przebieg służby wojskowej wg aktualnej książeczki
wojskowej:

- 1 sierpnia 1938 - wcielony do JW - Świecie nad Wisłą,
- 15 sierpnia 1938 - zaprzysiężony.
- 15 sierpnia 1938 - przeniesiony do piątego pułku lotniczego - 51 eskadra, jako pomocnik brygadzisty,
- 25 grudnia 1938 - awansowany do stopnia starszego strzelca,
- kwiecień 1939 - przeniesiony do szkoły podoficerskiej przy piątym pułku lotniczym.
- 26 sierpnia 1939 - wyjazd na front /Ostrołęk Zalesie, Czerwień/.
- 17 września 1939 - awans na kaprała,
- 17 września 1939 - po rozbiciu jednostki wrócił do domu.

/Ostatni zapis nie odpowiada prawdzie. Poczyniono go wówczas, gdy pisanie prawdy nie było możliwe/.

= = = = =

.Nazywam się Marian Pawłowicz. Urodziłem się Pierwszego
stycznia 1921-go roku. Moi rodzice zmarli w moim dzieciństwie:

© ARCHIWUM WSCHOĐNIE

Gdy miałem siedem miesięcy - zmarł mój ojciec a gdy miałem trzy i pół roku - zmarła moja matka. Gdy ~~mieszkałem~~ ^{żyli} moi rodzice, mieszkalem w Starosielcach. Po ich śmierci przeniosłem się do Białegostoku na ulicę Ogrodniczki do ciotki i wujka. Tu mieszkając, ukończyłem szkołę Podstawową nr siedem. Ta szkoła wówczas mieściła się w dzielnicy Antoniuk i mieściła się w budynku drewnianym. Była to szkoła pięcioklasowa. Dwa ostatnie lata /klasy szósta i siódma/ ukończyłem w szkole podstawowej nr dwa przy ulicy św. Rocha.

Po ukończeniu szkoły podstawowej poszedłem do szkoły rzemieślniczej, którą ukończyłem jako mechanik o specjalności ślusarz - tokarz. Było to w roku 1937-mym. W tym samym roku starałem się o przyjęcie do szkoły lotniczej. W związku z tym poszedłem na roczny kurs lotniczy, który był zorganizowany w Warszawie na Okęciu. Kurs ulokowano w barakach w bezpośrednim sąsiedztwie pierwszego pułku lotniczego.

Stamtąd odszedłem pierwszego lipca 1938 roku. Zostałem skierowany do piątego pułku lotniczego. Jednakże pierwsze, typowe miesiące rekruckie odbyłem w jednostce wojskowej w Świeciu nad Wisłą. Stamtąd kierowano nas do jednostek wojskowych, które sobie - jako ochotnicy - wybieraliśmy. Ja wybrałem piąty pułk lotniczy dlatego, że w owym czasie chodziły wieści, że i w Białymstoku ma powstać jakiś dywizjon lotniczy. Liczyłem na to, że może tu się dostaną.

Przed samym wybuchem wojny - dwudziestego szóstego sierpnia wyjechaliśmy na lotniska polowe. Myśmy trafili w okolice Ostrołęki. Pamiętam, że majątek, do którego trafiliśmy, nazywał się Rynek czy coś takiego. Tam nas zastała wojna. Zaczęliśmy się cofać.

Byłem w obsłudze naziemnej w obsłudze samolotów typu

"Karaś". Okazało się, że one mają bardzo słabe podwozia i podczas eksploatacji na lotniskach polowych dochodziło do bardzo licznych awarii. Podwozia po prostu nie wytrzymywały. Awarie były tak częste, że pod koniec naszych walk mieliśmy sprawne jedynie dwa samoloty. Jeden z tych samolotów odleciał do Rumunii a drugi sami spaliliśmy, żeby nie dostał się w ręce wroga. Był to koniec walk naszej eskadry.

Cofając się przechodziliśmy przez Bielsk Podlaski, Białowieżę, majątek Dobrony i dalej, na południe. Minęliśmy Równe i doszliśmy aż za Tarnopol.

Tam, siedemnastego września dowiedzieliśmy się o wkroczeniu Rosjan. Widzieliśmy ich niewielkie samoloty, które między sobą nazywaliśmy "baki". W rzeczywistości nazywały się one fachowo "istrebitieli".

Pierwsze czołgi okrążyły nas za Tarnopolem. Faktem jest, że na samym początku spotkania oficerowie sowieccy mówili, że oni idą nam z pomocą /tak mówił major/ i że wspólnie będziemy bić Niemca. Było to w niedzielę, siedemnastego września po południu. Właśnie tego dnia zamierzaliśmy wykonać ostatni marsz /etap/, po pokonaniu którego znaleźlibyśmy się na terenie Rumunii. W tym miejscu mieliśmy już ostatni postój przed przekroczeniem granicy. I właśnie tam, na tym ostatnim postoju nas to nieszczęście spotkało.

Na drugi dzień Rosjanie powiedzieli, żeby zdać broń, bo oni nie mają pocisków takiego kalibru, któreby mogły być zastosowane do naszej broni. Obiecali, że dadzą nam swoją broń i że razem pójdziemy do walki.

Kiedy zdaliśmy broń, błyskawicznie nas otoczono. Wydano nam komendę "stroit' po piati" /formować się w piątki/ i pognano

nas w stronę granicy. Po przekroczeniu granicy zamknięto nas w obozie. Następnie załadowano nas do pociągu i ruszyliśmy na wschód. Pierwszy obiad jedliśmy po czterech dniach w Kijowie. Następnie skierowano nas na północ. Tam byliśmy w obozach położonych w pobliżu Kozielska. Miejscowość, w której znaleźliśmy się, nazywała się Podwołoczyska i leżała w pobliżu Kozielska.

Tu odbyła się segregacja jeńców. Niedaleko nas był wyjątkowo duży monastyr. Stał od nas w odległości kilometra.

Nasz obóz stanowiły baraki postawione na pał^ach. Teren był ogrodzony drutem kolczastym. Po rogach stały "wyżki", jak to Rosjanie nazywali. Na tych wyżkach stali sowieccy wartownicy. Teren był bagienny. W pobliżu kopano torf. Do tego celu wykorzystywano pobliską kolej wąskotorową.

Było to chyba odludzie. Nocą pod obóz podchodziły stada wilków. Rosjanie starali się je straszyć drewnianymi kołatkami. W samym obozie szczurów było dosłownie zatrzęsienie. Wpadały nawet do kotłów, w których gotowano nam jedzenie.

Wspomniałem o tym, że oddzielono od nas oficerów i starszych podoficerów. Właśnie ich skierowano do owego monastyru, który był widoczny z naszego obozu. Był to duży, okazały i ładny monastyr. Mówiono między nami, że wewnątrz zbudowano nary do wysokości siedmiu pięter i że tam właśnie są osadzeni nasi oficerowie.

W jakimś czasie zachorowałem na grype i leżałem. Właśnie w owym czasie wywołano mnie po to podobno, że będą wywozić do domu. Oczywiście nie zgłosiłem się, ponieważ leżałem chory. Cała ta sprawa jest o tyle podejrzana, że żadnego z moich kolegów nie wywołano do zwolnienia. A ja miałem kolegów pochodzących głównie z terenów zabranych przez Niemcy. Były to województwa: katowickie, poznańskie, warszawskie.

Mój kolega z Białegostoku, który jeszcze żyje i mieszka obecnie w Białymstoku / Tadeusz Stecewicz, ul. Ciepła 5m17/ właśnie wówczas został wywieziony. Okazało się jednak, że nie do Polski lecz do innego obozu. Jak mi potem sam opowiadał był w tym obozie aż do przyjscia Niemców w 1941-ym roku. Stamtąd dostał się do obozów niemieckich, ponieważ Niemcy uważali, że jest on Sowieciem. W momencie dostania się do niewoli niemieckiej on był ubrany w sowieckie ubrania, ponieważ mundur polski, w którym dostał się do niewoli sowieckiej do tego czasu uległ całkowitemu zniszczeniu. Stąd Niemcy przyjęli, że jest on Sowieciem.

Kiedy wyzdrowiałem, zostałem z kolegami pochodzącymi z województw zachodnich i środkowych zabranych przez Niemcy. Jak się później dowiedzieliśmy, dochodziło do wymiany. Jeńców pochodzących z województw zachodnich Sowieci mieli wydać Niemcom. Natomiast Niemcy mieli przekazać wszystkich jeńców pochodzących z województw wschodnich. Jeden z wagonów został doczepiony do naszego transportu. W Sarnach, to dawna przygraniczna stacja, ten wagon otworzyli, wypuścili nas i powiedzieli, żeby iść do domu.

Pozostała część transportu pojechał dalej. Później dowiedziałem się /spotkałem kilku kolegów z Warszawy i Białej Podlaskiej/, że oni wyrąbali w podłodze dziurę i dziesięciu kolegów z mojej, 51-ej eskadry uciekło. Ucieczki dokonali w czasie, gdy transport znajdował się między Terespołem a Białą Podlaską. Pamiętam, że wówczas uciekli koledzy: Michał Chomiuk, Stefan Gołębiowski z Warszawy. /Chomiuk pochodził z Białej Podlaskiej/. Spotkałem go nawet później. Bo w obozie była taka zasada, że jeńcy wymieniali pomiędzy sobą adresy po to, że jeśli któryś się

wydostanie na wolność, powinien zawiadomić rodziny tych, którzy nadal w obozie pozostają.

Jeszcze przed naszym wyjazdem jeden z jeńców /pochodził z Wilna/powiedział do Rosjanki:ich już wywieźli /chodziło o tych,których przekazano stronie niemieckiej oraz o jeńcach oficerach/ a nas jeszcze nie.A na to Rosjanka odpowiedziała: słuchaj,jeśli ty wierzysz w Boga,to dziękuj Bogu.Ja ci tylko powiem,że oni nie pojechali do domu.No i faktycznie.Po przyjeździe,gdy nas wypuścili,to ja przyjechałem do Białegostoku.następnie pojechałem do Lidy aby dowiedzieć się o losach tych kolegów,którzy wyjechali wcześniej a którzy pochodzili z Lidy.I tu spore zaskoczenie:nikogo z nich nie spotkałem mimo tego, że wyjechałem o całe dwa tygodnie później niż oni.Będąc tam uspakajałem rodziny /żony,siostry/.Tłumaczyłem naiwnie, że oni napewno zatrzymali się gdzieś po drodze u znajomych lub kolegów i że napewno jeszcze przyjadą.Przecież byliśmy razem.Jak się okazało,nikt z nich nie wrócił.

Wróciłem do Białegostoku.Osiemnastego stycznia przeszedłem granicę między Brześciem a Bugiem.Musiałem to zrobić,bo zamieszkałem u ciotki i dowiedziałem się, że mą zaczynają interesować się nadmiernie Sowieci.kolega namówił mnie do ucieczki.Obaj uciekliśmy więc do Warszawy.

Granicę pokonaliśmy przykryci białymi prześcieradłami.był to bowiem styczeń,zima bardzo śnieżna i mroźna.W Warszawie zameldowałem się w mieszkaniu przy ulicy Bródnowskiej 20. A tu zaczęli na odmianę poszukiwać mnie Niemcy.Uprzedziła mnie o tym gospodyni,do której przyszli w mojej sprawie Niemcy.na szczęście mnie nie zastali.Fakt, że zameldowałem się tu jako mechanik lotniczy i to zapewne zainteresowało Niemców.Wolałem

nie czekać na ich powrotną wizytę i uciekłem do miejscowości Huszcza w powiecie Biela Podlaska. Tam wstąpiłem do organizacji podziemnej KPN, która później, w czasie akcji scaleniowej weszła w skład ZWZ-AK.

W organizacji pełniłem różne funkcje. Między innymi byłem łącznikiem z Warszawą. Obwód mieścił się w Łomazach. Miejscowym dowódcą był Trzęsiwilk. Mieszka obecnie w Warszawie. Byłem u niego. Jest to już obecnie staruszek. Trudno z nim nawet porozumieć się.

Kiedy przyszli Sowieci w 1944-tym roku, to mnie i kilku innych, między innymi Wilbika, aresztowali i zawieźli do Białej Podlaskiej. Pamiętam, że to było szóstego listopada.

Tam Rosjanie starali się pozyskać mnie do współpracy. Tłumaczyli mi: my wiemy, kim ty jesteś, że jesteś sierotą itd. Chodziło im o to, żeby im wydawał swoich kolegów z AK. Odpowiedziałem im, że przecież moi koledzy walczyli przeciw Niemcom więc jak mogą ich wydawać? Odpowiedzieli: no to pojedziesz na białe niedźwiedzie. Stwierdziłem, że i tam też ludzie żyją.

I faktycznie; zakładowano nas powtórnie na samochód i odwieziono do więzienia do Białej Podlaskiej.

Powinienem być powiedzieć o tym jeszcze wcześniej: myśmy przedtem chcieli iść na pomoc walczącej Warszawie. Byłem żołnierzem 9 dywizji AK. Służyłem w trzecim batalionie, którego dowódcą był "Zenon". On wcześniej odbił miasteczko Łomazy, w którym stacjonowali nie Niemcy a Węgrzy. Walk o to miasteczko w zasadzie nie było. Wcześniej bowiem zawarto między nimi a dowództwem miejscowym AK, ~~xx~~ porozumienie, w myśl którego oni mieli poddać się honorowo.

Kiedy już to nastąpiło i gdy weszli Sowieci, poradzili nam, żebyśmy odpoczęli. Myśmy weszli do koszar. Nie wszyscy jednak.

Ja na przykład tam nie ~~wszedłem~~^{WSZEDŁEM}. Natomiast ci, którzy tam weszli, już tam zostali. Tam Sowieci wyłuskali oficerów i natychmiast wywieźli ich do Lublina a stamtąd samolotami do Rosji a inni do obozu.

Mnie natomiast, jak już mówiłem, wpakowali do więzienia w Białej Podlaskiej, gdzie siedziałem przez tydzień. Stamtąd samochodem przerzucono mnie do więzienia do Białegostoku przy obecnej ulicy Kopernika. Stąd 13-go listopada transportem wywieziono mnie do Ostaszkowa. Był to nawet pierwszy transport. Ten pierwszy transport jest opisany w pierwszym numerze "Sybiraka". Pisał pan Lenczewski.

W Ostaszkowie musieliśmy iść ze stacji do obozu jakieś trzy kilometry. Zaraz na początku, prawie przy wejściu, zdarzył się bardzo nieprzyjemny a jednocześnie znamieny wypadek. W naszym transporcie był taki Rozental, zamieszkały w Białymstoku przy ulicy Gajowej. Ten jego dom do dziś stoi. Stoi w głębi. W tym domu obecnie mieszka Jackowski. Otóż przy wejściu do obozu ten człowiek dostał obłąkania i poszedł na druty. Sowiecki wartownik chyba zawołał: stój, będę strzelał. Ponieważ Rozental nie zareagował - zginął od kuli. Było to nasze wejście i zarazem ostrzeżenie: co oni z nami zrobią.

W Ostaszkowie byłem niedługo, bo tylko pół roku. Po tym okresie nas, wszystkich Akowców, wywieźli do Diagielewa koło Riazania. Tam też był obóz.

Jeśli chodzi o obóz w Ostaszkowie, to ten obóz, podobnie jak i obóz w Podwołoczysku, położony był na bagnach, na trofiskach. Tam cała elektrownia i nasza kuchnia obozowa była opalana torfem. Gdzieś tam karczowano krzaki. Co do warunków, to muszę stwierdzić, że takiej ilości pluskiew jak tam, to ja

nigdy i nigdzie nie widziałem. /chyba nigdy nie zobaczę. Myśmy spali na pryczach, bez żadnych sienników. Kto miał jakiś płaszcz to nim się nakrywał. Dopiero później dali nam sienniki z tym, że nie było czym napchać tych sienników. Wobec tego myśmy jeden drugiego zaszywali w tych siennikach po to, żeby obronić się od tych pluskiew, których była cała masa.

Jedzenie było bardzo złe. Sześć^ćset gram chleba to niby dużo. Ale był to chleb tak ciężki jak glina, że te sześćset gramów to była po prostu kromka. Tak więc jedzenie było bardzo złe. Jednakże jeśli ktoś szedł poza obóz do pracy, na przykład przywozić torf /Wówczas trwała już zima, bo myśmy do Ostaszkowa jechali chyba ze trzy tygodnie. Wkrótce przyszły święta Bożego Narodzenia/, ten dostawał rację zwiększoną. Dawano nam też do jedzenia kapustę, czasem kawałek jakiejś ryby. Było to wszystko mało kaloryczne i było go stale za mało. Ludzie zaczęli handlować. W tym wypadku było najgorzej tym, którzy palili, bo musieli oddawać swoją pajkę za tytoń. Ludzie tam byli różni. Byli i tacy, którzy tam znaleźli się za autentyczną współpracę z Niemcami. Działał tam specjalny sąd/utworzony przez więźniów/, który odbywał swoje "sesje" na stołówce, jak nazywano jeden z baraków stojących w pobliżu stołówki. Tam właśnie wyciągaliśmy tych ludzi, którzy służyli Niemcom i ich tam tłukliśmy /to była kara za wysługiwanie się Niemcom/.

Trzeba przyznać, że pod tym względem nam Sowieci nie przeszkadzali. Nie przeszkadzało im to, że w tych sprawach ustanowiliśmy swoje rządy. Oczywiście nie stosowaliśmy kary śmierci lecz karaliśmy chłostą - ustalony ilość uderzeń pasem.

W Diaglewie było dużo oficerów. Byli też generałowie. Pamiętam, że był z nami generał Bitner z 9-tej dywizji. Po roku dołączył do nas generał "Wilk"-Krzyżanowski. Generałów w na-

szym obozie było sześciu. Natomiast oficerów było około sześciu set. Natomiast w całym Diagielewie przębywało około trzech tysięcy więźniów.

W tym obozie też różnie bywało. Dużo w tym wypadku zależało od komendanta obozu. Przypominam jednego, który był do Polaków dobrze ustosunkowany i za jego kadencji nam w obozie dobrze się powodziło. Natomiast po nim był taki kapitan Białorusin. Wówczas mieliśmy złe życie. Najczęściej jedliśmy kapustę albo szczaw. Koszono łąkę i dosłownie wszystko co nakoszono kierowano do kotła jako szczaw. Kapusta też była bardziej z nazwy niż w rzeczywistości - trochę liści.

Tam było kilka takich kuchni. Dla oficerów była inna kuchnia. Była to kuchnia oczywiście lepsza od naszej. Dla wyższych oficerów była jeszcze lepsza. Ale to prawdopodobnie było tak dlatego, że zagranica dowiedziała się o naszym obozie. Mówiono, że córka generała Bitnera była w Szwecji i Szwecja już o tym obozie wiedziała. Z drugiej strony dowiedzieliśmy się, że w Związku Radzieckim też działają tajne organizacje. Wymieniano wśród nich organizację o nazwie "Czarna Kozka", która pomagała naszym bo były z tego obozu wypadki ucieczki i to nawet udanych ucieczek. Pamiętam taki wypadek jeden, że od nas zabrali od nas wszystkie kosztowności i ruble. Ale potem pozwolono nam kupić do orkiestry instrumenty. Kilku kolegów wzięło od nas pieniądze - myśmy wiedzieli, że oni przygotowują się do ucieczki właśnie pod pretekstem kupienia tychże instrumentów do orkiestry.

Po zakup instrumentów oni udali się do miasta oczywiście pod konwojem NKWD-ystów. Było to w Riazaniu. Ponieważ wiadomo, że Sowieci lubią wypić, więc im zaproponowano wspólne pójście do restauracji. I ci się zgodzili. Tam ich trochę upojono a nas

tępnie poproszono o pozwolenie udania się do ubikacji. Jak można się domyśleć, tak dobrali czas akcji, że akurat na stacji stał pociąg. I oczywiście uciekli.

NKWD-ystów, którzy tak dali się wywieść w pole, zedgradowano, odbierając im stopnie oficerskie a następnie zesłano do ~~obozu~~ kołchozu. Ale dla więźniów ucieczka była udana.

Udanych ucieczek było kilka. Jeden z więźniów, mieszkaniec Białegostoku, uciekał nawet kilkakrotnie.

Nadszedł rok 1947-ny. Wojna już dawno się skończyła, nas nadal trzymano. Nie mieliśmy też żadnego kontaktu z naszą ambasadą czy z innymi czynnikami polskimi. Ponieważ taka sytuacja przeciągała się, postanowiliśmy w dniu świętych Piotra i Pawła który przypada 29-go czerwca, rozpocząć głodówkę. Trwała ona indywidualnie tak długo, jak długo kto mógł wytrzymać. Ja głodowałem sześć dni i tyle średnio głodówka wynosiła. Byłem zdrowy i tyle mogłem wytrzymać. Inni, którzy mieli słabe serce, głodowali po cztery dni. Ci, którzy wyraźnie słabli, byli zabierani przez Sowieców, otrzymywali nieco lepsze jedzenie i byli otaczani inną opieką.

Gdy przystąpiliśmy do głodówki, władze obozowe zaczęły nas straszyć. Wyszukiwano przywódców buntu /na chybił trafił/i zaczęto ich wywozić. Porozwozili oficerów, generałów. Jeden z nich /generałów/ poniósł śmierć przez uduszenie podczas karmienia. Nie pamiętam już jego nazwiska. Pochowany został w Związku Radzieckim.

Potem porozwożono nas po innych obozach na taką kwarantannę. Z Moskwy przyjechał radziecki generał i dał słowo honoru /czesnoje słowo/, że wyjedziemy do Polski. W związku z tym głodówkę zakończyliśmy.

Maszą głodówkę rozpoczęliśmy w bardzo symptomatycznym momencie - tuż po mszy polowej. Tu muszę dodać, że w naszym obozie odprawiano msze polowe. Wprawdzie w obozie nie było kapelanów ale ich funkcje przejął ksiądz "cywilny", osadzony w naszym obozie. Pochodził z Białej Podlaskiej. Po zakończeniu mszy nie poszliśmy do stołówki na śniadanie lecz podjęliśmy głodówkę.

Było kilkanaście osób, które nie głodowały wyłamując się z naszego wspólnego frontu. Tę grupę tworzyło około pięćdziesięciu komunistów, którzy nawet i w takiej sytuacji opowiadali się za Sowietami.

Nie tak dawno widziałem pewnego człowieka, który w tamtejszym obozie był szpiclem. Po powrocie do Polski też był szpiclem - najpierw w Białymstoku a potem w Warszawie. Ostatnio widziałem go znów w Białymstoku. Nazywał się Roszko czy Roczko i mieszkał gdzieś na Gruntowej. W każdym razie, mówiąc po sowiecku, w obozie była to swołocz. Był w takiej sytuacji, że Sowietci musieli mu dać odrębne pomieszczenie, bo go by chyba zabito. Był taki wypadek że jeden z więźniów tak zaczął go bić, że jechał na nim jak na koniu.

Kiedyś w rozmowie z Sowietem - NKWD-ystą, zapytaliśmy: jak to jest możliwe, że ten sam człowiek służył kiedyś Niemcom a teraz służy wam. Wówczas NKWD-ysta odpowiedział: słuchajcie, my donosy lubimy ale donosiciele - nie.

Mnie wywieziono aż za Wołgę, za Kazań, do Maryjskiej republiki autonomicznej. Tam były nieprzebyte las. Jechaliśmy na przykład przez trzydzieści kilometrów i cały czas przez las. Jakies dwadzieścia kilometrów były wyłącznie lipy. Widzieliśmy zainstalowane ule. Tam było też siedem plag.

Początkowo weszliśmy do obozu, gdzie byli Węgrzy, byli żoł-

nierze węgierscy. Tu stwierdziłem naocznie, że prawdziwe jest przysłowie "Polak, Węgier, dwa bratanki...". Przyjęli nas bardzo życzliwie w obozie, zappiekowali się nami. Do dziś zachowałem miłe wspomnienia o Węgrach z tamtego obozu.

Po jakimś czasie znów nas rozdzielono i wywieziono w głąb tajgi. Był to chyba obóz ponemiecki. Gdy tam tylko zajechaliśmy, to zauważyliśmy czarna mrowie pcheł. Towarzyszyły nam też przez cały czas pluskwy i komary a kolega twierdził, że i niedźwiedź podchodził pod obóz.

Stamtąd, po kilku tygodniach nas zaczęto wywozić do Brześćcia. Z Brześćcia dostałem się do Białej Podlaskiej a stamtąd dotarłem do domu. W Białej Podlaskiej otrzymałem dokumenty PUR-owskie oraz paczkę.

W czasie pobytu w Rosji nie nalegano na mnie, abym tam został ani też nie zmuszano do przyjęcia obywatelstwa rosyjskiego. Narod rosyjski nie był zły. Jakiś czas pracowałem na tokarni z Ukraińcem. On nienawidził Sowietów. Był człowiekiem kulturalnym. Doznałem dużo życzliwości i zrozumienia ze strony zwykłych Sowietów.

Gdy byłem w Riazaniu, to tam była taka nasza kompania a za płotem budynek naszej szkoły oficerskiej, którą potem zajęli Sowietci. I Sowietci mówili/bo my narzekaliśmy, że tu tak brudno/ gdy tu byli wasi oficerowie, to było naprawdę czysto. A nasi z tego budynku zrobili gnojowisko.

Sowietom mówiono o nas, że my jesteśmy "izmienniki rodiny" i że trzeba nas pilnować. Straże obozowe wymieniały się chyba co kwartał. O Polakach mówili: Polak jest bardzo chytry. Jeśli go zawiążesz do worka i odwrócisz się na chwilę, to stwierdzisz, że Polaka już nie ma ale worek nadal jest zawiązany. Tak więc gdy oni nas pilnowali, to aż trzęśli się ze strachu.

Widziałem w kolchozach nieopisaną nędzę. To prawda, że to był rok 1945, ale ludzie tam umierali z głodu. Sam widziałem ludzi spuchniętych. Albo taki obrazek: osiem kobiet zaprzęgniętych w uprząż, za nimi "dziadźka" z sochą / nie żelaznym pługiem, jak u nas / orali pole pod kartofle. I w tym czasie ludziom nie wolno było wziąć z kolchozowego pola nawet lebiody. Pytaliśmy: dlaczego? Przecież to jest chwast. Jego usunięcie będzie ułatwiać wzrost kartofli. Odpowiadano że nie, bo to nie twoje. Nielzia.

W okolicy nie było lasów, a gotować trzeba było. Oni tam się dziwili nam: jak to? Wy dostajecie sześćset gramów chleba i zachynacie głodówkę w sytuacji, gdy my dostajemy tylko czterysta gramów? Okazało się, że ich obywatele otrzymywali mniejsze racje niż my w obozie. To im się nie mieściło w głowie, jak to jest możliwe.

Tamtejsi ludzie byli bardzo biedni. Ale istniało chyba coś takiego, jak zniechęcenie do życia. Nas to na przykład dziwiło, że może zginać wagon z kartoflami. Cały wagon. Po jakimś czasie znajdowano wagon ale już bez kartofli. U nich kradzież była na porządku dziennym. Ale inaczej nie można było przeżyć. Wtedy, dla nas Polaków coś takiego było nie do przyjęcia: jak to można kraść. Ale mimo tego Polacy w obozie radzili sobie znacznie lepiej niż przypuścimy Niemcy. Chociaż trzeba przyznać, że na ogół Niemcy byli gorzej traktowani. Jednakże to zależało w dużej mierze od obozu. Trzeba przyznać, że nasz obóz w Diagielewie był jednym z lepszych obozów. Gdy patrzyliśmy na tych, którzy przychodzili do nas ze Stalinogorska z kopalń, to aż nam ciarki przechodziły. Taki mieli wygląd: byli zmęczeni i tak zmaltrretowani.

W Diagielewie nie było obowiązku pracy. Oficerowie w ogóle

nie chodzili do pracy. Natomiast podoficerowie i żołnierze szeregowi wychodzili do pracy na własne życzenie. Otrzymywali za to zwiększone racje żywnościowe, tak zwany "Dobawecznyj pajok". Składały się na to łyżka cukru, trochę tytoniu, troszkę zupy i nieco więcej chleba.

Istotne znaczenie miało też i to, do jakiej pracy się trafiały. Wspomniany już wcześniej major sowiecki, który miał żonę Polkę tak kierował nas do pracy, żeby przy tym można było coś "skombinować". Pod tym względem dobrze było trafić na przykład do elewatora, do speczawodu, chłodni. Pracujący w tych zakładach Polacy po prostu kradli. Nasi zatrudnieni w elewatorze przynosili do obozu zboże, które tu mieliliśmy. Zrobiłem odpowiednie do tego urządzenie /dwa walce/, ponieważ pracowałem na tokarni. Mieliliśmy mąkę /z której wypiekaliśmy placki.

W Diagielewie pracowałem jako tokarz w warsztatach, które miały jakoby charakter warsztatów lotniczych. W rzeczywistości reperowano tam narzędzia o charakterze pozawojskowym, jak na przykład kieraty.

Do tej pracy poszedłem z własnej woli. Uważałem, że jest to wskazane i dla zdrowia i przynosiło trochę rozrywki. Nie musiałem siedzieć w zaduchu w zapluskwionych barakach. Wprawdzie po jakimś czasie trochę przetrzebiliśmy pluskwy /wyparzyliśmy/ ale tak do końca to ich nie zwalczyliśmy.

Wypadki znęcania się nad więźniami zdarzały się w Ostaszkowie. Swego czasu zorganizowano ucieczkę i kilku uciekinierów ~~wzięto~~ ujęto. I wówczas jeden z oficerów, którego nazywaliśmy "Cap - carap", znęcał się nad nimi, dotkliwie ich bił. Kilku uciekinierów zastrzelił.

Tu, w Diagielewie nie było tego. Rygor obozowy oczywiście

był, jak we wszystkich obozach, ale wypadków znęcania się nad więźniami nie widziałem.

Do Polski wróciłem trzynastego października 1947-go roku. Najpierw zajechałem do Huszczy, miejscowości, w której działałem w AK. Trafiałem do gospodarza, u którego w latach konspiracji często się zatrzymywałem. Będąc tam, otrzymałem list od kolegi, który wcześniej też był partyzantem. Kiedyś z nim razem byłem w oddziale specjalnym. Obecnie był szypren na statku, który kontrolował rybaków. Swój list napisał właśnie do tego gospodarza /wiedział, że jestem w Rosji/ z wiadomością, że jeśli wrócę i będę miał chęć, to mogę do niego przyjechać. Ponieważ nie miałem w zasadzie żadnej rodziny /jedynie ciotkę w Białymstoku/, pojechałem do niego, do Łeby. Tam przebywałem od listopada 1947-go roku do lipca roku następnego. On mi pomógł dostać się na kuter rybacki. Był to kuter nie państwowy a prywatny, którego właścicielem był Wilnianin, który tam osiadł. Na tym kutrze pływałem przez jakiś czas po morzu. Gdy przyjechałem, byłem goły i bosy, w jednej koszuli żołnierskiej. Tam zarobiłem trochę tych pieniędzy na podstawowe potrzeby. Przekonałem się jednak, że jest to bardzo ciężki kawałek chleba. Powszechnie uważa się, że gospodarski chleb jest ciężki. Uważam, że na morzu chleb jest dużo cięższy. A poza tym dużo niebezpieczniejszy.

Wróciłem do Białegostoku do ciotki. Podjąłem pracę w Urzędzie zatrudnienia /był taki/ a następnie przeszedłem do banku. Był to bank komunalny. Kiedy ten rodzaj banku został zlikwidowany, przeniósłem się do banku inwestycyjnego. Z kolei z banku inwestycyjnego przeszedłem do budownictwa. Pracowałem w dawnym ZBM-ie a następnie w BPIS-ie a stąd do zjednoczenia. Ze zjednoczenia, które zlikwidowano w 1981-ym roku przeszedłem

na emeryturę.

Z racji pobytu w Rosji miałem pewne trudności. Na początku mieszkałem przy ulicy Poleskiej. Przez pół roku nie miałem spokoju. Ciągłe wzywało mnie UB-e. Ale nie wzywali mnie do budynku, w którym mieli swoją siedzibę, lecz do różnych miejsc, na przykład spotkania na ławce i nakłaniali do współpracy. Ale na samym początku to dosłownie przykładali ucho. Bo to była ulica chyba Grajewska, zaułek. Tu dosłownie przykładano ucho do ściany i bez przerwy mnie obserwowali.

Pewnego razu tak to mnie rozłościło, że chwyciłem za siekiere wołając, że zabiję. Kiedyś powiedziałem im wprost: słuchajcie, co wy robicie, głupiego ze mnie? Przecież byłem w Rosji i tam nie miałem takich kłopotów a wy tutaj szukacie dziury w całym. Dopiero wówczas dali mi spokój. Ale przez pierwsze pół roku nie miałem spokoju: ciągłe wzywanie oraz nieustanna obserwacja na każdym kroku.

W banku dyrektorem był pan Wysocki, który nie był partyjny. Był dyrektorem jeszcze z przedwojennym stażem. Tam miałem się dobrze. W banku inwestycyjnym było już gorzej ale jakoś szło. Tak że moja przeszłość jakoś tak zdecydowanie nie zaciążyła na mnie.

Fakt, że byłem na "czarnej liście" w banku inwestycyjnym. Dowiedziałem się o tym, że tam jestem. Był tam też pan Łoszyn, zastępca dyrektora oraz jeszcze jeden pan, którego nazwiska nie przypominam sobie. I my we trójkę przeszliśmy do budownictwa. W owych czasach "czarna lista" oznaczała ludzi, których zakład pracy /w tym przypadku bank/ miał się pozbyć przy jakiejś okazji. Ja za to, że byłem w AK. Łoszyn za to, że w jakiś sposób naraził się ZMP-owcom a ten trzeci wrócił z zachodu, z armii gen Andersa.

Dowiedziałem się o tej liście po cichu. Zawiadomiłem tamtych dwóch i myśmy sami złożyli wypowiedzenie.

Po tym fakcie przyjechał dyrektor z centrali, już nie pamiętam jego nazwiska /chyba nazywał się Gryczan/ i w rozmowie ze mną bardzo się dziwił mojej decyzji: jak to? My pana szykujemy do awansu a pan się nagle zwalnia? Patrzyłem na niego z niechęcią. Uważałem, że on jako dyrektor nie może nie wiedzieć jakie są rzeczywiste motywy mojej decyzji. Sądziłem, że on robi ze mnie głupiego. Ale, jak się później dowiedziałem, w owym czasie bardzo często było tak, że dyrektor instytucji prowadził swoją politykę a kadry swoją. W sumie dyrektor z pewnością szczerze mi się dziwił.

Gdy natomiast przyszedłem do ZIS-u /zakład instalacji sanitarnych/, to tam pierwszym kierownikiem był Pawlak. Ten pan jeszcze żyje. Słyszałem jego rozmowę z personalnym, jak to się wówczas mówiło /kierownikiem kadr/:

- panie kierowniku, kogo pan wziął? Przecież to czarna reakcja.
- No dobrze. Mnie nie obchodzi ich przeszłość polityczna. Ale powiedz mi, jacy oni są w pracy?
- W pracy, to oni dobrze się sprawują. Mają dobrą opinię.
- To mnie głównie obchodzi, co oni myślą. Ja mam ludzi do pracy a nie do polityki.

Takie to miałem przykrości. Tym razem skończyło się dobrze. Ale gdybym trafił na tchórza dyrektora, to już zaczęłyby się poważne kłopoty. A swojej karierze byłem zastępcą głównego księgowego a u Łoszyńskiego to nawet i głównym księgowym. A ten trzeci /z czarnej listy/ był kierownikiem działu zatrudnienia. Takie to były dzieje losu.

Dotarły też do mnie pewne wiadomości w sprawie generała Krzyżanowskiego - "Wilka". Mimo, że wrócił z Rosji do Polski, został po raz drugi uwięziony. Osadzono go w Warszawie i tam zgładzono. Widziałem zdjęcia z jego drugiego pogrzebu, na którym byli biskupi, kiedy to pochowano go z honorami. Wniosek z tego dla mnie wypływa jeden: bywało i tak, że nasi byli gorsi niż Sowieci. Ze smutkiem trzeba to przyznać. Wykonczyli dużo ludzi. Ginęli ludzie, którzy przeszli Rosję, wrócili i tu zginęli od swoich.

Jakieś cztery lata temu w Białej Podlaskiej był zlot żołnierzy 27-ej Dywizji Wołyńskiej oraz 9-tej dywizji. Była msza a następnie wspólny obiad. Spotkałem bardzo wielu kolegów. Było to bardzo miłe spotkanie, wzruszające.

Z 27-mą Dywizją Wołyńską miałem też doczynienia w czasie, gdy przebywałem w Huszczy. Gdy oni przeszli Bug, to zatrzymali się w Lasach Janowskich, w okolicach Wisznic. Z każdej drużyny dwóch żołnierzy delegowano w celu zdobycia żywności. Ponieważ ja znałem tamten teren bardzo dobrze, to ich oprowadzałem po zagrodach okolicznych gospodarzy. Z tej akcji utkwiał mi w pamięci szczególny wypadek. Przyszliśmy do bogatego gospodarza, zapukałem /zdarzenie miało miejsce wieczorem/ i od niego nie dostaliśmy nic. A w pobliżu mieszkała taka uboga kobieta, wyrob-nica i ona sama wyraziła chęć udzielenia pomocy: panie Maria-nie, ja pomogę. I sama przyniosła jajka, jakiś ser. Odpowiedzia-łem: słuchaj, kobieto, ty i tak masz mało. Nie - odpowiedziała, ja sobie dam radę a im trzeba pomóc. To było naprawdę wzruszające, że ci biedniejsi byli bardziej patriotyczni jak ci bogaci. Ale i z tym bywało różnie. To był akurat taki wypadek, który zapamiętałem.

27-my Dywizja Wołyńska w owym czasie nie miała kapelana. Pamiętam, że prosili księdza proboszcza z Huszczy, żeby im odprawił mszę świętą. On, ze strachu, się nie zgodził i tę mszę odprawił po cichu - nie mówiąc nic proboszczowi - wikary z tej parafii. Przyjechał do lasu i mszę odprawił. Tak więc i ksiądz okazał się nieludzki, zbytnio się bojący.

Kiedyś, jeszcze w czasach okupacji niemieckiej zorganizowaliśmy zasadzkę na szosie w pobliżu Bugu. Miejsowości dokładnie nie pamiętam. Jeden z kolegów nieco wcześniej powiedział, że ma jakieś złe przeczucie i żeby jego nie wysyłać na tę akcję. Prosił, żeby go zostawić przy taborze, który był ulokowany w lesie. W czasie zasadzki ostrzelaliśmy żandarmów i nic nikomu się nie stało. Już wracaliśmy z akcji /było to w pobliżu Włodawy/. Gdy podeszliśmy do taboru, zobaczyliśmy tego kolegę, który stał przy wozie chłopskim oparty o luśnię / to taki element furmanki chłopskiej, podtrzymujący drabinę/. Jeden z kolegów zwrócił się do niego ze słowami: co ty cholera, śpisz? I trącił go w ramię. A ten bezwładnie osunął się na ziemię. Okazało się, że jakaś zabłąkana kula trafiła go prosto w głowę. Zginął na miejscu mimo, że nie był w akcji. A sam przed akcją prosił, żeby go tu postawić, bo ma złe przeczucie. Czy to nie jest przeznaczenie?

Drugi wypadek był jakby odwrotny i dotyczył syna gospodarza, u którego się zatrzymywałem. W okolicy grasowała banda złodziejska. W czasie swojej działalności podpaliła wieś Kopytnik, położoną od Huszczy jakieś dwa kilometry. Huszcza to była czysto polska, szlachecka wioska. W pobliżu były wsie mieszane. Kopytnik był również wioską polską ale "chłopską". Dalej były wsie ukraińskie. Bandy grasowały dość często. Gdy więc nocowaliśmy na ko-

loniach, to spaliśmy pod gołym niebem. Oczywiście warty były rozstawione i nasłuchiwałem odgłosów okolicy. W tej sprawie była strzelanina. My usiłujemy odbić Kopytnik i zgasić pożar /starż pożarna z Husaczy nie została przez bandytów dopuszczona/. A w tym czasie ten syn chwycił karabin i nie kryjąc się wcale, strzelał odkryty, opierając broń o brzuch. Widząc to zawłąkałem przerażony: co ty robisz? Przecież trzeba się kryć. A on na to: jak ma trafić, to i tak trafi. I rzeczywiście nie trafiło; żył jeszcze wiele lat.

Ze mną przecież była podobna sytuacja w Hosji. Gdybym wyjechał z kolegami, też bym zginął. Akurat musiałem zachorować na głupią grypę? Gdyby nie to, trafiłbym do transportu, do którego włączono moich kolegów i już bym nie żył. Myśląc o tych wypadkach dochodzę do wniosku, że istnieje coś takiego, jak przeznaczenie. Wierzę w przeznaczenie.

W samym obozie w Kozielsku nie byłem. Byłem tylko w tym obozie /Podwołoczyska/ i w niewielkim miasteczku, w którym, jak pamiętam, była cukrownia. Razu pewnego zawieziono nas tam kolejką wąskotorową do pracy. Pamiętam, że przywozkiem stamtąd soczewicę. Ugotowaliśmy ją potem w obozie i wówczas po raz pierwszy jadłem soczewicę.

O tym, że istnieje coś takiego jak przeznaczenie, przekonałem się pracując jako kurier. Było tak, że miałem punkt kontaktowy na przeciw Dworca Głównego w Warszawie. Była to niewielka restauracja. Wszedłem tam, ubrany z wiejska, jak chłop, żeby się zbytnio niczym nie wyróżniać. A tam natychmiast mnie zatrzymano: po co tu przyszedłem? W jakim celu? Do kogo? Odpowiedziałem ze spokojnym zdziwieniem: jak to? Przecież tu jest restauracja i przyszedłem coś zjeść. Jak się okazało, punkt został "spalony"

i w tej restauracji był "kociol". Wcale nie byłem zmieszany, odpowiadałem spokojnie. Sprawdzili, iż rzeczywiście przyjechałem do miasta, wysiadłem na najbliższym dworcu i wszedłem do najbliższej restauracji. Wszystko wyglądało logicznie. Inną sprawą jest to, że nie miałem przy(sobie nic kompromitującego. Ale mogło być źle.

Miałem zapasowy punkt na Dworcu Wileńskim u pewnej pani. Od niej otrzymałem dalszy kontakt.

Albo inny przykład. Jestem w Warszawie, też po prasę. Był to czwartek. Odbierałem tym razem i prasę i rozkazy z wtorku i z czwartku. To było akurat przed ostatkami. Miałem kilku kolegów z ulicy Złotej, którzy też byli w organizacji. I oni niespodziewanie wyszli z propozycją: Marian, zostań. Zrobimy ostatki. I ja zostałem. Okazało się, że w Siedlcach, pociąg, którym miałem jechać, został otoczony przez Niemców a pasażerowie dokładnie zrewidowani. Podobno wpadło wówczas kilku kurierów. W Łomazach i w Studziankach /była to wieś za Łomazami, gdzie miałem kontakt/ rozeszła się wiadomość, że mnie aresztowano. W terenie wszyscy ci, którzy mieli ze mną kontakt, pouciekali z domów do lasów czy innych miejscowości. Gdy po dwóch dniach przyjechałem, wszyscy byli zdziwieni. Gdy zapytałem o Wilbika odpowiedziano mi, że się ukrył w obawie, że będę sypał.

I znów zbieg okoliczności, że zostałem w Warszawie z takiego właśnie powodu. Jak tu nie wierzyć w przeznaczenie?

Notował: S. Sianko.